

## Jan Rokita: Rozmowa Żyda z gojem

Jeśliby przyjąć klasyczną, sformułowaną w tzw. „konwencji Lemkina” definicję, to wojna w Strefie Gazy może wypełniać znamiona ludobójstwa, gdyż jest w swej obecnej fazie prowadzona „w zamiarze zniszczenia w części grupy narodowej”, czyli arabskich Palestyńczyków. Takie stwierdzenie, gdy pada z ust polityków, ma nieocenione polityczne znaczenie dla liderów Hamasu i całej potężnej dziś antyżydowskiej propagandy. Ale przecież z perspektywy rozumu i sumienia nie rozwiązuje ono absolutnie żadnego problemu.

Po zbrodniczym napadzie na synagogę Heaton Park w Manchesterze, dokonanej w Sądny Dzień, czyli żydowskie święto pojednania, w brytyjskich mediach pojawiły się skargi tamtejszych Żydów na zjawisko „normalizacji antysemityzmu” w społeczeństwach europejskich. Faktem jest, że dla wszelakich wrogów państwa i narodu żydowskiego Jom Kipur był zawsze dniem szczególnej preferencji do ataków na Żydów, którzy wtedy poszczą, pokutują za grzechy i starają się przebłagać Boga, aby nie zostać przezeń wpisanymi do zamykającej się właśnie Księgi Śmierci; a symboliczny w tej mierze jest Jom Kipur 1973 roku, kiedy to Izrael cudem obronił samo swoje istnienie. Jednak Sądny Dzień 2025 roku miał pod pewnym względem w Europie precedensowy charakter, co spektakularnie ujawniło się zwłaszcza w Anglii. W czasie bowiem, gdy Żydzi byli zabijani w ataku na synagogę, na ulicach angielskich miast trwały wielkie, wspierane przez brytyjską lewicę i diasporę islamskich imigrantów, antyizraelskie i antyżydowskie manifestacje, u podłoża których tkwi – rzecz jasna – krwawa wojna w

Strefie Gazy. Z perspektywy żyjących w Europie Żydów tego rodzaju melanz masowej polityki i akcji terrorystycznych odradza naturalne poczucie zagrożenia, które – jak mi się zdaje – nigdy w duszach Żydów w Anglii, Francji, czy Hiszpanii do końca nie wygasło. Amerykański pisarz Ashley Rindsberg (znany w Polsce z książki demaskującej historię wielkich kłamstw publikowanych na łamach „The New York Timesa”, wśród których była m.in. informacja z września 1939 roku o napaści Polski na Niemcy) zyskał ostatnio rozgłos w sieci, gdy krótko przed zamachem w Manchesterze opublikował tweeta z prognozą jego angielskiego przyjaciela, wedle której „w tym kraju Żydzi mają przed sobą jeszcze jakieś dziesięć lat”. Przyznam, że na mnie przynajmniej robi wrażenie uwaga rzucona ot, tak, przez Rindsberga, iż w tegoroczny Jom Kipur „obraz żydowskiej kobiety z dwójką dzieci, idącej ulicą w cichej dzielnicy Londynu, nagle wydał mi się znakiem jakiejś zupełnie niewyobrażalnej bezbronności”.

### **Przeczytaj również: Felieton Jana Rokity – Zbrodnicze zdziecinnienie**

To zrozumiała perspektywa Żyda żyjącego dziś w Zachodniej Europie. Jednak z perspektywy europejskiego „goja” (by posłużyć się – *salva reverentia* – tym biblijnym określeniem) chciałoby się jednak zdefiniować granicę, która jednoznacznie odseparowałaby przejawy patologicznego resentymentu do Żydów, jaki towarzyszy praktycznie całym dziejom Europy, od uprawnionej w wolnym społeczeństwie dezaprobaty dla działań państwa żydowskiego, nawet, jeśli by miała ona postać nieprzyjaznej filipiki, traktowanej przez część Żydów, jako niesprawiedliwy atak. Rzecz jednak w tym, że z tą granicą jest kłopot w odniesieniu do większości narodów, a już z Żydami ów kłopot jest niebotyczny. No bo weźmy rzecz *pro domo sua*: czy publikowanie relacji o wydawaniu w czasie okupacji Żydów przez chłopów polskich,

za wódkę otrzymywaną od Niemców w nagrodę, jest jeszcze „tylko” niesprawiedliwą krytyką Polaków, czy też już świadectwem patologicznej polonofobii? A ów niebotyczny kłopot w przypadku Żydów bierze się współcześnie dodatkowo z dwóch, moim zdaniem oczywistych i trudnych do zaprzeczenia *bona fide* faktów. Najpierw tego, że hasło „antysemityzmu” używane było długo przez część środowisk żydowskich, jako wytrych, mający pełnić rolę szantażu moralnego, blokującego w zarodku jakąkolwiek krytykę, czy to polityki państwa żydowskiego, czy to strategii diaspory żydowskiej, jak również szereg krytycznych badań nad historią. Przypadek Hannah Arendt, którą swego czasu proklamowano „antysemitką”, jest tak absurdalny, że rzecz nie wymaga dalszej argumentacji. I do tego doszła teraz wyjątkowo drastyczna postać wojny, jaką Izrael prowadzi w Strefie Gazy. To właśnie owa drastyczność sprawia, że na całym Zachodzie podniosła się fala autentycznej wrogości wobec państwa żydowskiego i jego aktualnej polityki, praktycznie już nierozróżnialna od podskórnej dotąd, a teraz eksplodującej na scenie publicznej nienawiści wobec Żydów. Niestety, splot tej nienawiści i antyżydowskiego terroryzmu, który panoszy się po Europie, z teoretycznie uprawnionymi antyizraelskimi masowymi manifestacjami, jest dziś tak silny, że wszelka próba oddzielenia jednego od drugiego, stała się polityczną iluzją. Dowód? Na ulicach Londynu wznoszone są okrzyki (przywołam w oryginale za Rindsbergiem, bo tłumaczyć tego nie sposób): „Fuck the Jews, fuck them all, fuck their mothers, rape their daughters and show your support for Palestine”. Europejskie rządy, zwłaszcza te lewicowe, albo są coraz bardziej zastraszone skalą owej antyżydowskiej emocji w swoich krajach i manifestują bezradność (np. Londyn), albo też próbują ustawić się pod wiejący nowy wiatr, aby – co tu dużo mówić: dość nikczemnie – złapać trochę tego wiatru we własne żagle (np. Madryt). I to właśnie zjawisko angielscy Żydzi nazywają teraz „normalizacją antysemityzmu”.

Skoro granica między resentymentem i dezaprobatą jest w praktyce iluzoryczna, wiadomo, jak musi wyglądać współczesna rozmowa o polityce, toczona pomiędzy europejskim Żydem i europejskim gojem. Nie trzeba daleko szukać, bo – niestety – ta nowa forma rozmowy dotarła już do Polski, o czym mogliśmy się dopiero co przekonać czytając dziennik „Rzeczpospolita”. Katolicki (co ciekawe, nie lewicowy, jakby to było zapewne w zachodniej części Europy) publicysta tej gazety Jan Maciejewski wystąpił z ostro sformułowaniem manifestem przeciw sposobowi, w jaki Izrael prowadzi wojnę w Strefie Gazy, dochodząc do trzech wniosków: 1mo – że Izrael winien być uznany przez świat za „państwo terrorystyczne”, 2do – że tak długo, jak uważamy Izrael za „część cywilizacji Zachodu”, jesteśmy sami winni zbrodniom popełnianym przez Żydów, no i 3tio – że naród żydowski przemienił się we „wspólnotę oprawców”, a uprawiane przezeń ludobójstwo posunie się dalej, jeśli nie zostanie ukarane. W sensie ekstremizmu formułowanych ocen ten tekst jest ważny, bo zmienia paradygmat debaty publicznej w Polsce; jeszcze niedawno taki tekst mógłby się pojawić wyłącznie w jakimś niszowym, pokątnie wydawanym piśmie, ale nie w prestiżowej liberalnej gazecie, wspierającej rząd premiera Tuska. „Rzeczpospolita” zamieściła też odpowiedź, sformułowaną w jakimś sensie w imieniu środowisk żydowskich w Polsce. Agnieszka Markiewicz z American Jewish Committee Central Europe odpisała to, czego należało oczekiwać: że tekst Maciejewskiego to po prostu „manifest antysemityzmu, porównywalny do oszczerstw o (żydowskich) mordach rytualnych”. No i tak pogadał sobie teraz polski Żyd z polskim gojem.

Sedno problemu z tą rozmową polega na tym, że drastyczna filipika Maciejewskiego, w której dla celów retorycznych próbuje on odwrócić świętą dla Żydów logikę Holocaustu, tak by to naród żydowski został

teraz dla świata „wspólnotą oprawców” dopuszczającą się „ludobójstwa”, uzasadniana jest przez publicystę z grubsza rzecz biorąc prawdziwymi faktami. Owszem, Maciejewski epatuje tam opisami najstraszniejszych zbrodni popełnianych przez Żydów w toku wojny w Strefie Gazy, ale nie zmyśla przecież wszystkich owych brutalnych faktów, o których każdego dnia słyszymy z globalnych mediów. Ze zrozumiałych powodów politycznych zarówno rząd Izraela, jaki Markiewicz w swojej polemice, odrzuca zarzut ludobójstwa, który skutkować by musiał międzynarodowym wykluczeniem państwa żydowskiego. Ale prawdę mówiąc, wszystko tu zależy od definicji, bo jeśli przyjąć tę klasyczną, czyli dość szeroką, sformułowaną w tzw. „konwencji Lemkina”, to wojna w Strefie Gazy może wypełniać znamiona ludobójstwa, gdyż jest w swej obecnej fazie prowadzona „w zamiarze zniszczenia w części grupy narodowej”, czyli arabskich Palestyńczyków. Oczywiście takie stwierdzenie, gdy pada z ust polityków, ma nieocenione polityczne znaczenie dla liderów Hamasu i całej potężnej dziś antyżydowskiej propagandy oraz akcji politycznej prowadzonej na całym świecie, a także dla rozmaitych prawniczych trybunałów. Ale przecież z perspektywy rozumu i sumienia nie rozwiązuje ono absolutnie żadnego problemu.

Ludobójstwem w lemkinowskim sensie było choćby zbombardowanie Drezna w lutym 1945 roku, gdzie Anglicy i Amerykanie w ciągu jednego dnia zabili tyle ofiar cywilnych, co Żydzi w Strefie Gazy w ciągu dwóch lat wojny, albo Hiroszimy w sierpniu tego samego roku, gdzie Amerykanie w jedną chwilę zabili dwa razy więcej bezbronnych cywilów. Te uderzające analogie bynajmniej nie są myślowo, ani etycznie banalne, dlatego winny być brane pod uwagę wtedy, gdy chcemy wyciągać drastyczne wnioski na temat „wspólnoty oprawców”, czy „państw terrorystycznych”. Proszę to zważyć: ludność Strefy Gazy, która pada teraz ofiarą koszarnej wojny, sama, bez przymusu,

przygniatającą większością głosów powierzyła władzę nad sobą zbrodniczej szajce islamistów z Hamasu. Szajka ta nigdy nie ukrywała, że jej celem jest likwidacja państwa żydowskiego, a w tym celu jej założyciel – szejk Jasin wymyślił iście szatański pomysł, iżby terrorystyczną armię współczesnych asasynów zamaskować pod przykryciem szkół, szpitali, ochronek dla dzieci i uniwersytetów. Dwa lata temu ta szajka asasynów wychynęła ze swoich kryjówek i przystąpiła do mordowania i porywania żydowskich dzieci na festiwalu muzycznym oraz żydowskich rodzin, które budziły się właśnie w kibucach i zaczynały pichcić śniadania. Teraz Izrael, skądinąd zresztą z poparciem Ameryki, żąda od Hamasu dokładnie tego, czego w 1945 roku Anglicy i Amerykanie żądali od niemieckiego i japońskiego reżimu faszystowskiego: bezwarunkowej kapitulacji i złożenia broni. I tu tkwi właśnie kulminacyjny szkopuł moralny: Izrael mówi nie wprost, ale wystarczająco jasno, że dla zmuszenia rządzącej zbrodniczej szajki do złożenia broni będzie zabijać ludzi, którzy wynieśli ją do władzy. Patrząc na rzecz logiką czysto polityczną trzeba by uznać, że rząd Izraela musiałby się składać z szaleńców, gdyby po tym wszystkim co już się stało, rzucił teraz Hamasowi linę ratunkową i umożliwił mu na powrót odbudowę, z dobrze znanym już, tyle że odłożonym w czasie skutkiem. Dokładnie tą samą polityczną logiką, co dziś Netanjahu, niegdyś kierowali się Roosevelt, Truman i Churchill; mówili: będziemy zabijać bezbronnych Niemców i Japończyków tak długo, aż panujące nad nimi zbrodnicze szajki złożą broń i ogłoszą bezwarunkową kapitulację. W moim przekonaniu Maciejewski nie jest antysemitą, ale raczej pięknoduchem, udającym, iż nie czytał Webera, i nie dowiedział się jeszcze, że częścią sztuki politycznej jest nauka obcowania z diabłem. Dlatego zapewne nie postawi sobie pytania, czy USA i Wielka Brytania roku 1945 to były „państwa terrorystyczne”, zaś Amerykanie i Anglicy tworzyli naonczas „wspólnoty oprawców”? A tymczasem na serio, w dorosły sposób, mógłby spojrzeć rzeczywistości w oczy dopiero wtedy, gdyby postawił te pytania własnemu, kształconemu nauką

chrześcijańską „sumieniu zaświadczającym” (*conscientia dicitur testificari* – wedle lekcji Tomasza z Akwinu). A potem dopiero wydał wyrok na Izrael i Żydów.

*Jan Rokita*

*fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum*

**Przeczytaj również: „Z podbieszczadzkiej wsi” – felietony Jana Rokity w Teologii Politycznej**